NR. 16 NIEDZIELA, 8 LISTOPADA 1931 R. ROK V

PRZYJACIEL dzieci

Pod redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

GÓRNICY



Dniami całemi nie widzimy słońca.
Otacza nas noc bez końca.
W każdej chwili możemy być odcięci od
świata
i żywcem pogrzebani.
Ale to nas wcale nie zatrważa.
Ale na to żaden z nas nie zważa.
Jesteśmy bowiem Rycerzami Pracy,
My, prości górnicy — junacy.
Jedni z nas rękami własnemi
Sól dobywają z ziemi,
Bez której nikt się nie obędzie.
Potrzebna jest ona zawsze i wszędzie,
nie tylko dla bogaczy, ale i dla nędzarzy,
bo każda strawa, choćby najuboższa,
ze solą się warzy.
A drudzy z nas kopią węgiel czarny,
bez którego płomieni ustałaby wszystka
praca na ziemi:
Zamarłyby fabryki,
stanęłyby koleje,
a ludzie, bez węgla, co grzeje,
pomarźliby w zimowe mrozy i zawieje.
Dla was więc, którzy żyjecie na ziemi
my pracujemy pod ziemią
i zdobywamy te skarby,
które w niej drzemią.

ŚLĄSK

Czarna, żyzna ziemia pomaga rolnikowi w pracy: wspólnym ich wysiłkiem rosną na polach łany zbóż, dające chleb głodnym ustom.

Ale na południu Polski ziemia, sfałdowana wzgórzami, nie pomaga człowiekowi. Kryje zazdrośnie w swej głębi potrzebne mu wielkie bogactwa. Pochyla się też nad nią nie rolnik, a robotnik:

Śląski górnik ryje w niej głębokie kopalnie i pracowicie wyrzuca na powierzchnię kamienny węgiel, rudę żelazną, rudę cynkową, rudę ołowianą;

śląski hutnik praży z rud w ogniu ogromnych pieców hutniczych — żelazo, cynk, ołów;

śląski metalowiec leje płonące żelazo, pryskającą ogniem stal, a z twardego i zimnego metalu sporządza maszyny i śle je na Polskę całą i poza jej granicę.

Niebo na tej ziemi zasnuwają chmury dymów, ciągnące się pasmami z lasu kominów.

Powietrze na tej ziemi huczy ustawicznie od pędu kół i transmisyj, syczenia pary.

Glebą tej ziemi wstrząsa ustawicznie uderzenie kilofa górniczego i rytm machin.

Ziemia ta — to Śląsk.

Przeszło sześćset lat temu w roku 1327, w czas swarów książątek udzielnych władających podzieloną na dzielnicę Polską, Śląsko, pokryte wonczas borami, pełne dzikiego zwierza, popadło pod panowanie czeskie, a wraz z Czechami pod austrjackie. 400 lat później (w roku 1742) Prusy je zabrały i poczęły niemczyć.

Śląsk jednak pozostał przy swej mowie i obyczaju. Kiedy w r. 1931 przyszło głosować, czy jest za Polską czy Niemcem, mimo prześladowań, Śląsk opowiadał się za utraconą przed wiekami ojczyzną.

Dyplomaci i politycy mędrkowali długo nad Śląskiem, mierzyli, przykrawali, co Polsce przyznać, co Niemcom, co Czechom. Jedna narada ambasadorów (przedstawicieli państw różnych) w roku 1920, przyznała Rzeczypospolitej Polskiej część Śląska Cieszyńskiego; na innej naradzie w roku 1921 — część Śląska Górnego, tego właśnie, gdzie znajdują się złoża bogactw w głębinach ziemi, a na jej powierzchni gęsto miasta i osady, zasnute dymami.

Teraz nizinna północ i wzgórzami sfalowane południe Śląska stanowi województwo śląskie Rzeczypospolitej, składające się z 6 powiatów, a rozłożone na przestrzeni 4.234 kilometrów kwadratowych.

Mieszka tu do miljona trzystu tysięcy ludu śląskiego. Wszystko to robotnicy, górnicy, rzemieślnicy. Wśród 17 miast największem miastem są Katowice, gdzie siedzibę swą ma i Sejm Śląski i najwyższy na Śląsk urzędnik Rzeczypospolitej wojewoda śląski, wraz z Radą wojewódzką.

Miasta tu inne, niż w pozostałych częściach Polski. Nie takie ciche i nie toczy się w nich życie tak powoli, jak na równinach. Na nizinach wolniuśko dojrzewa owoc ludzkiej pracy, sycony sokami ziemi, zraszany wodą nieba. Trzeba cierpliwie czekać, aż z zielonej trawki wydźwignie się prężna, chwiejna, ale mocna łodyga, ukoronowana kłosem. Jest na wszystko pora, z niczem nie śpieszno.

Na Śląsku węże pociągów szybko chwytają wywalane z głębi bogactwo i uwożą do Gdyni nad polskie morze. Rozbiegają się na wszystkie strony podskakując na spojeniach szyn koła wagonów, naładowanych sztabami stali, towaru przeróżnego: materjałów włókienniczych, chemikalij, maszyn, narzędzi.

Tu tem większe zbiera owoce człowiek, im szybciej pracują jego ręce, im szybciej obracają się koła maszyn i kłapią suwaki w cylindrach.

M. Krz.

Koń-górnik

Judym i Korzecki poszli długim chodnikiem. Z bliska i zdala szły szeregi wózków, ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników wlókł tak za sobą całemi latami przeklęte wozy z węglem. Gdy mijali postępującego w ciemności konia, odwracał na bok głowę i oczy, które już raził żółty blask latarnianego światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej.

Woda lała się tam strugami, kapała w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny.

Stanęli w mokrej windzie, wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złemi twarzami, i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górną.

Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Śmiertelnej czarniawy nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka.

I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginął w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał pod sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

— Fuks, mówią, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

— Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szeptem objaśniał, co to znaczy:

— Czasami koła jednego z wózków zczepionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykolejają.

Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już robotę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje, sądząc, że to skutek wykolejenia.

Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone"., ale koń, pociągnąwszy zlekka, nie rusza z miejsca, gdyż czuje ciężar większy, niż należy.

Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków, aż na sam ich koniec, i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje — Fuks, nie zwalone!

Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlecze dalej w ciemność swą dolę.

St. Żeromski.



Tańczące serca

Mama kłopotała się:

— Co to będzie? Zima idzie, a my nie mamy jeszcze ani odrobiny węgla. Jakże przetrzymamy zimowe mrozy? Ni się czem grzać, ni przy czem gotować!

Ale oto jednego dnia powiedział ojciec:

— Ciesz się, matka! Koniec twoim kłopotom. Wypłacili mi dziś za zaległą robotę i zaraz zamówiłem węgiel. Przywiozą ze składu nad wieczorem. Trzeba

tylko, żeby Edek popilnował w bramie jak węglarze będą znosić z wozu do piwnicy.

A Edkowi w to graj. Łap-cap, nową uczniowską czapkę i stare, dobrze wysłużone paltko. Du-du-du! po schodach i już jest na ulicy. Wygląda, czy jadą z tym węglem?

Długo ich nie było widać, ale przyjechali nareszcie.

Wóz naładowany jak się patrzy ślicznemi, czarnemi, lśniącemi kawałami węgla. Na nim ludzie usmoleni tak, że im tylko się oczy i te białe zęby świecą. Wiadomo — węglarze.

Zatrzymali się pod bramą.

— To do nas, do nas — woła Edek i pokazuje, gdzie mają nosić i składać.

Jeden wielką łopatą nasypuje węgiel z woza do kosza, a drugi kosz na plecy zgarbione dyguje i nosi, a nosi.

Edek już dobrze zziąbł na przeciągu w bramie, nim wreszcie skończyło się to noszenie.

— No, ale teraz będzie nam ciepło! — cieszy się Edek i z koszykiem drobniejszych kawałków co tchu pędzi po schodach na czwartaka.

Nos mu zakwitł z tego zimna na czerwono i ręce zgrabiały.

— Hu! ha; Ależ to mróz, bo mróz!

— Czekaj, zaraz się rozgrzejesz — powiada matka i napaliła w piecu, aż huczy.

Kucnął Edek przed uchylonemi drzwiczkami pieca i na ogień się zapatrzył.

Cicho w mieszkaniu zrobiło się, przytulnie, sennie jakby. Zmrużył Edek oczy raz, zmrużył drugi raz. A wtem musnęło go coś ciepłe po ręku. Patrzy Edek i aż oczy przetarł: przed nim, w smudze światła, padającego z niedomkniętych drzwiczek pieca, stoi... otóż to właśnie! Któż to stoi przed Edkiem? Krasnoludek, nie krasnoludek, stworek nie stworek... istotka malutka, a śliczna, że nie wypowiedzieć! Włoski jak płomyczki, twarzyczka przejrzysta, jak dymek, oczka jak iskierki, usteczka jak czerwone węgielki, a szatki na tej istotce szkarłatne, jak ogień.

Ani chybi, jakiś duszek i to dobry duszek, bo uśmiecha się do chłopaka i cieplusieńką rączką jego zziębnięte palce gładzi.

Odetchnął Edek. Niema się czego bać, kiedy tak. I uśmiechnął się nawzajem do dziwnego, ślicznego gościa.

— Ktoś ty, duszku, i skąd się tu wziąłeś?

— Ja jestem Ognioduszek. A przyszedłem do ciebie, Edku, przez te drzwiczki z pieca.

Dziwi się Edek, ale zdziwił się jeszcze więcej, gdy Ognioduszek powiedział:

— Chcesz? Zrobię tak, że w tym zwyczajnym twoim piecu zobaczysz to, co było na ziemi przed tysiącami lat...

— Jakże to — chciał wykrzyknąć Edek, ale już Ognioduszek schylił się błyskawicznie, pochwycił w jasne paluszki szczyptę ciepłego popiołu i sypnął nim na powieki Edka.

— Patrz teraz — szepnął. — Co widzisz w twoim piecu?

Edek spojrzał i aż usta otworzył ze zdumienia. Zamiast leżącej na żelaznym ruszcie kupki bryłek zwykłego kamiennego węgla, zobaczył przed sobą obraz tak dziwny i piękny, jakiego nigdy nie widział w kinie.

Był to las cudowny, puszcza bezmierna, jakiej ludzkie oko nie widziało, ludzkie ucho nie słyszało. Rosły tam paprocie olbrzymie, liśćmi nieba sięgające, o pniach tak grubych, jak najgrubsze dęby. Rosły skrzypy wielkie, od naszych sosen większe, rosły widłaki i mchy tak bujne, jak krzewy. A wszędzie pełno dziwnych, ogromnych kwiatów, pachnących cudownie.

Istny ogród olbrzymów, z zaczarowanej bajki — ziemia nasza ludzka z przed tysięcy lat.

Patrzy Edek na te cuda, jak na obraz w kinie i jak obraz w kinie zmienia się w oczach Edka las przedpotopowy. Oto płyną, płyną, niewiedzieć skąd wzięte, wielkie wody, całe wód powodzie i zalewają drzewa olbrzymy, i wyrywają je i kędyś niosą... i zwalają w swą głąb wodną, zamulają ziemię z gór rozmytych naniesioną!

Zaczarowane przez Ognioduszka oczy Edka widzą teraz, jak las przedpotopowy pod ziemią przeinacza się, jak pnie drzewne rozkładają się powoli, ale nie gniją na próchno, jeno twardnieją, ciemnieją, kamienieją... stają się węglem, całemi pokładami, całemi olbrzymiemi złożyskami węgla.

I widzą, widzą wyraźnie zaczarowane oczy Edka, jak po długich, długich setkach i tysiącach lat zjawia się pod ziemią człowiek, śmiałek, który odkrył te bezcenne czarne skarby: górnik.

Teraz zaczyna się praca w kopalni węgla. Nie jest ona łatwa. Pod ziemią na śmiałka górnika czyha co krok niebezpieczeństwo: w czarnych korytarzach i komorach wyrytych w węglu czają się gazy zabójcze, obrywają się znienacka bryły, ni stąd ni zowąd wypływa zaskórna woda.

Ale człowiek zwycięża w walce z ziemią.

Dobyty w pocie czoła węgiel, skarb tający w sobie siłę i ciepło, rozchodzi się po całym kraju od fabryk wielkich, aż po najlichsze ubożuchne kuchenki.

Zwyciężony, służy człowiekowi.

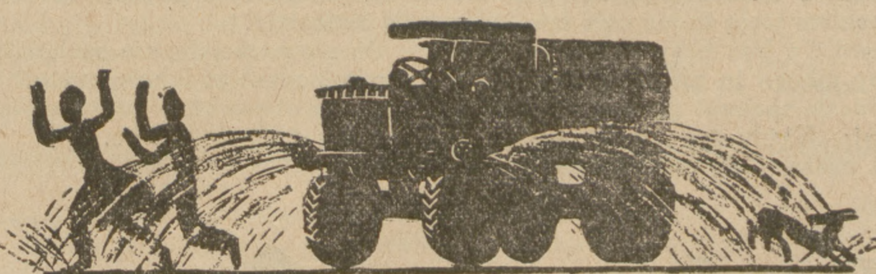
W trudzie zdobyty, konieczny do życia błogosławiony skarb.

Zaczarowane oczy Edka widzą przed sobą znów tylko garść palących się ostro węglowych bryłek na żelaznym ruszcie ubogiego pieca.

Ale dlaboga! cóż to się dzieje z węglowemi płomykami? Podskakują one w piecu wesoło i leciuśko, jak duszki tańczące, a każdy płomyk ma kształt gorejącego, ognistego serduszka.

— Przyjrzyj się i zapamiętaj — szepcze Ognioduszek. — To jest zaczarowany łańcuch serc tych wszystkich ludzi, których praca złożyła się na to, żebyś ty, jeden mały chłopiec, przeziąbłszy, mógł usiąść pod ciepłym piecem i rozgrzać się.

...To są serca górników, którzy ten węgiel kopali, kolejarzy, którzy go do tutejszego miasta przywieźli, węglarzy, którzy go u was w piwnicy złożyli... wszystkich, wszystkich tych ludzi, którzy pracują dla ciebie chłopcze, choć ty o tem nie wiesz.



STEFKA

Stefka sprzedawała cukierki.

Miejsce miała złe, na Grójeckiej, przed kościołem.

Dzieci w tych stronach nie mają pieniędzy na łakocie. A dorośli gniewają się: „Odczep się", „Nie przeszkadzaj", „Handlu się jej zachciało".

Wcale się jej nie „zachciało", tylko musi.

Ojciec jest bez pracy. A matka robi kwiaty z bibułki, śliczne różowe i czerwone z zielonemi listeczkami, tak udane, jak żywe. Robi wieczorami, a rano idzie do hali. Dawniej wszystko sprzedawała i wcześnie wracała. Potem było coraz gorzej, wracała coraz później i przynosiła coraz więcej niesprzedanych kwiatów. Wtedy zaczęła posyłać Stefkę z temi kwiatami, tak, do znajomych, do sklepów. Zapytać — może kupią? Czasem kupowali, ale rzadko — a potem wcale już nie kupowali.

I Stefka, wziąwszy pudełko „Alfa", wyszła na Grójecką.

Z początku Stefka podbiegała do przechodniów i podsuwała pudełko: „Cukierki „Alfa", pani kupi!" — prosiła. Potem zmęczona i zniechęcona stała już tylko, trzymając w ręku otwarte pudło.

Raz odważyła się pójść dalej i przejść na drugą stronę.

I wtedy stało się coś bardzo przykrego: chłopcy ją zbili. Chłopcy, którzy tak samo sprzedawali cukierki. Miejsce po drugiej stronie było lepsze do sprzedaży i dlatego chłopcy nie chcieli puścić tam

Stefki. Sami chcieli sprzedawać. Wielkiego to tam bicia nie było, więcej tak, dla postrachu, ale w tem szamotaniu kilka cukierków wypadło z pudełka Stefki, a dwa nawet się zgniotły. Wtedy dopiero Stefka rozpłakała się. Jak teraz wróci do domu? Nic nie zarobiła i jeszcze straciła. Przecież ten zarobek to na chleb dla nich wszystkich, na kartofle do zupy. Tamte małe, troje młodszych od Stefki (Stefka duża, ma już 7 lat) są głodne. I co mama powie? Przecież pożyczyła pieniądze na to cukierki! Nie! Stefka nie wróci do domu, nie wróci. Płakała i krzyczała, aż zbliżyła się starsza trochę od niej dziewczynka, co sprzedaje włoszczyznę i dwu gazeciarzy, którzy wyskoczyli z tramwaju.

Tamtym chłopcom zrobiło się wstyd i żal tej dziewczynki, która przez nich tak płakała.

Felek tłumaczył coś gazeciarzom i dziewczynce z włoszczyzną, że przecież oni z Wackiem stoją tu już całe lato, więc mają prawo... a ona przyszła na to miejsce, jakby nikogo tu nie było... że...

Ale Wacek spojrzał groźnie na kolegę i przerwał: „Każdy ma prawo przyjść. A wina jest nasza. Nie ostrzegliśmy jej nawet, tylko zaraz bili".

Spojrzał jeszcze raz na dwa rozgniecione cukierki, na zapłakaną dziewczynkę i powiedział: — „Cukierki ci zwrócimy, jeden ja, drugi Felek. Tylko nie płacz. I od teraz możesz już sprzedawać tu, koło tramwajów, gdzie najlepiej.

Felek, widać, również tak pomyślał, bo zaraz oddał Stefce jeden cukierek ze swego pudełka i jeszcze radził: „Alfę" mało kto dziś kupuje. Wolą „Irysy".

Stefka już się uspokoiła i nie czuła żalu do chłopców. Wie przecież: nie są źli, tylko do bójki skorzy. Na podwórzu tak samo. Pobiją się, a potem im przykro.

I odtąd sprzedawali we troje w największej zgodzie.

Tylko, że teraz zaczęły padać jesienne deszcze. Felek i Wacek mówili, że zima będzie wczesna, a Stefka martwiła się. Bo i jak tu w zimę chodzić tyle godzin po ulicy?

A potem ktoś powie: „Handlować jej się zachciało!"

Oj, nie zachciało, nie zachciało, tylko— zamiast odrabiać lekcje, czytać, bawić się, musi zarobkować. Jak dorosła, chociaż jest tak mała ta Stefka.

Baj.





Zagadka

Wisi na ścianie,
a chodzi,
Nie ma rąk,
a bije.
Chętnie też radą każdemu służy
czy go o czas pyta, mały kto,
czy duży.

MUZYKA

Z cyklu („Dusza rzeczy")

Dzień był ponury. Nie padało jeszcze, ale wszystko wyglądało tak, że każdej chwili można było spodziewać się deszczu. To też ludzie, przechodząc przez podwórko do bramy, podnosili głowy do góry i wyciągali rękę przed siebie, żeby się przekonać, czy nie pada.

W taki dzień smutno i ciemno jest w mieszkaniach, zwłaszcza na dole w suterynie. Niepodobna wytrzymać. Ale i na podwórku nie udała się zabawa w chowanego i dzieci siedzą na pierwszym stopniu ganku bliziutko jedno przy drugiem i przebierają zziębniętemi nóżkami: tup, tup, tup.

A Kazio, ten sierota, który to u ciotki swojej mieszka i wygląda zawsze, jak straszek na wróble w ciotczynym kaftanie i zadużych butach, zdrzemnął się nawet trochę.

Wtem na podwórko weszły dwie czarodziejki. Pierwsza miała lśniącą złotą szatę i szeroko otwarte usta. Druga była pięknie wypolerowana i przepasana w kilka rzędów delikatnemi strunami. I chociaż pierwszej na imię było poprostu — Trąbka, a drugiej Skrzypka, zaraz, gdy tylko przemówiły, można było poznać, że to są możne czarodziejki, bo to co mówiły — no, to właśnie było czarem.

— Tram-tam-tam. Tram-tam-tam.

— Fluilui-la-la-la. Fluilui-la.

I trzeba było widzieć, jak zaczął działać czar!

Dzieci natychmiast zerwały się ze swych miejsc i otoczyły czarodziejki kołem. Nie czuły wcale zimna i zapomniały, że miał padać deszcz. Klaskały w rączki: tja-tja-tja i przyśpiewały: Fluilui-la-la-la. Fluilui-la.

A Kazio - sierota chwycił za ręce śliczną Zosieńkę i począł się z nią kręcić w kółko.

Fr... fr... leciały jasne warkoczyki Zosieńki dokoła jej główki.

Hejda... unosił się wysoko do góry ciotczyny kaftanik. I nawet duże buty skakały lekko.

Zaspane okna przebudziły się nagle i wszystkie się pootwierały, a z nich wyglądały uśmiechnięte twarze.

Patrzcie, przecież to Kasia, służąca! Wymyśla dzieciom zawsze, że robią na podwórku za dużo hałasu, a teraz sama chwyciła łyżkę i uderza nią w rondel.

— Czing bum, dadera da da, dziń, dziń.

A miotła, która stała w kącie przy stróżówce, powiada do śmietniczki:

— Moja pani, zawsze lubiłam tańczyć. Od najmłodszych lat, ale przy takiej muzyce, to dopiero się rozumie, jak pięknym może być taniec.

— Spodziewam się — odpowiedziała uprzejmie, zwykle trochę ponura śmietniczka. — Inaczej sunie pani w pląsach teraz, niż na ulicy dziś rano.

— Ach tak, tak. Życie może być bardzo wesołe.

Usłyszał to stary trzepak, który oddawna już utykał na jedną nogę i dlatego był wiecznie skrzywiony. Przecież i on pod wpływem czarów, które się działy na podwórku od chwili, gdy tam weszły Trąbka i Skrzypka, wyprostował się pięknie. Musiał koniecznie podzielić się z kimś swą radością, odezwał się więc do miotły, którą szanował za jej pracowitość.

— Pani ma rację: życie może być bardzo wesołe. Zmęczyłem się dziś rano okrutnie, musiałem dźwigać ciężkie dywany i pościel i chodniki. Ale kiedy to wszystko jest już czyściutko wytrzepane, mogę teraz wyprostować ramiona i wspaniale odpocząć. Tram-tam-tam. Tram-tam-tam.

Pendzel, który malował ściany domu,

powiedział nagle: — Hej, hej—zamiast się kłócić jak zawsze ze ścianami i nazywać je staremi brudasami.

A wysoka drabina, na której stał malarz, próbowała wyciągnąć się jeszcze bardziej w górę, żeby móc pomiędzy szczeblami swemi zobaczyć błękitne niebo.

Najbardziej zaczarowaną jednak wydawała się duża skrzynia do śmieci. Drugiej takiej zrzędy nie było w całem podwórku: od wczesnego rana stukała swojem na czarno pomalowanem wiekiem i skrzypiała ze złością:

— Tyle śmieci! Niepodobna wytrzymać. Skąd się to wszystko bierze? Dlaczegóż to do mnie właśnie zbierają się te wszystkie zakurzone obdartusy?

A teraz lśniła się radością i delikatnie przystukiwała wiekiem w takt muzyki.

— Trala-la, trala-la!

Nawet gdy zgnieciona i wypłowiała róża papierowa, leżąca na samym wierzchu powiedziała w zachwycie:

— Ach, czyż nie widzicie, że jestem prawdziwą ogrodową różą? Skrzynia do śmieci nie zaprzeczyła zjadliwie, jak byłaby to zrobiła w każdej innej chwili, tylko przystukiwała dalej do taktu swojem wiekiem:

— Tak, tak, tak. Fluilui-la.

Krótko mówiąc, wszystko było zaczarowane.

Nawet serca ludzkie uderzały wesoło w takt muzyki, a oczy stały się nagle jasne, niby błyszczące świeczki.

Stary dziadziuś od szewca z dołu, który nigdy już nie wychodził z domu, wyglądał teraz przez otwarte okno.

Oczy miał wprawdzie mętne, niewidzące, wiadomo, jak to oczy u bardzo starych ludzi, co to się zmęczyły już długiem patrzeniem na rzeczy i pięknie i smutne. Ale słyszał jeszcze dobrze, a z panią Trąbką znał się doskonale z dawnych młodych lat.

— Ach tak. Tru, tururu, tururu, tururu... I trzeba było dzielnie maszerować...

Nie możecie sobie wyobrazić, jak się wszystko zmieniło na ponurem, oczekującem deszczu, podwórku.

Każdy, kto się przed tem wydawał sobie biednym zaniedbanym i nieszczęśliwym, czuł się teraz pięknym, bogatym i szlachetnym. Wszystko, co było złe, stało się dobre, wszystko, co było stare, niedołężne i zupełnie zniechęcone do życia, uczuło w sobie nagle znowu młode siły i radość.

A sprawiły to dwie czarodziejki: pani Trąbka i pani Skrzypka.

Tram-tam-tam

Flui-lui-la.

Mała gosposia

A cóż to jest za gosposia
ta Antosia!
Wszystko umie zrobić sama
tak, jak mama.

